

Dorota Siwicka

Śmiech jowialny

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (36), 44-52

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dorota Siwicka

Śmiech jowialny

Osoby Pana Jowialskiego nie ma. A przynajmniej tak musiałabym sądzić, gdybym uwierzyła Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi, co na ogół robię chętnie. Tym razem jednak mój ulubiony autor „zlikwidował” — jak sam to określił — owego „milego staruszka” na 339 stronie swej książki o złym humorze Fredry. Pan Jowialski — stwierdził Rymkiewicz — ukrył się całkowicie za językiem wypowiedzianych przez siebie przysłów, które o nim samym, to znaczy o bohaterze Fredry, niczego nie mówią: „język nieruchomych słów i martwych znaczeń — nie łączy pana Jowialskiego z panem Jowialskim. Nie wiąże pana Jowialskiego w całość: czyli w osobę”¹. A więc Jowialski miał zniknąć, i to na zawsze.

Coś jednak udało mi się odnaleźć i to może nie byle co, gdy chodzi o nawiązanie kontaktu z człowiekiem, a mianowicie coś o twarzy. Dzięki Ludmirowi wiemy, iż na twarzy Pana Jowialskiego „rozlał się uśmiech”, a „każdy zmarszczek u niego powiada, że ze śmiechu powstał” (s. 243).² Mamy więc wizerunek Fredrowskiego człowieka śmiechu — uśmiech i zmarszczki. Wiemy też, że nie jest to maska,

¹ J. M. Rymkiewicz *Aleksander Fredro jest w złym humorze*, Warszawa 1977, s. 337–339.

² Numery w nawiasach oznaczają strony *Pana Jowialskiego* według: A. Fredro *Pisma wszystkie*, oprac. S. Pigoń, wstęp K. Wyka, t. V, Warszawa 1955–1968.

którą wyrzeźbił nóż chirurga–oprawcy, lecz, że wyźłobił tę twarz jeden, nieustannie powtarzany gest, którym Pan Jowialski przywykł witać wszelkie wydarzenia — gest śmiechu.³ Jerzy Stempowski nazwał ten śmiech „gestem zasadniczym wobec świata”.⁴ Ja także potraktuję śmiech Jowialskiego jako gest wobec tego, co jest. Jako gest, po którym Jowialskiego można poznać. I będę myśleć o tym śmiechu jako o postawie, stylu, a może nawet — jako o modelu pewnego istnienia. Mając to, co mam — język i śmiejącą się twarz — chcę spróbować wyciągnąć tę postać z niebytu, choćby trochę.

Choćby trochę, bo muszę tu przypomnieć, iż zanikanie Pana Jowialskiego jest zjawiskiem powtarzającym się. Stempowski na przykład pisał, iż Jowialski tak dalece wyzwała się z właściwości człowieka, że „staje na granicy jakiegoś osobliwego stanu, o którym bliżej nic nie wiadomo”, że odrywa się od życia i staje o krok od tego, „co teolodzy nazywają *ta eschata*, rzeczy ostateczne, najostateczniejsze”. Tak więc, według Stempowskiego, bohater Fredry jest już „na samej krawędzi otchłani nicości, która ma go pochłonać” — jakby jeszcze trochę był, ale za chwilę zniknie.⁵

Podobne wrażenie odczłowieczania się, przechodzenia Pana Jowialskiego w jakiś obcy wymiar odnajdujemy w skierowanych przeciw niemu, wyjątkowo barwnych wymysłach Eugeniusza Kucharskiego, wśród których stwierdzenie, że jest to „mumia deklamująca i uśmiechnięta” stanowi obelgę łagodną.⁶

Jest to obraz zupełnego zaniku i zdrętwienia wszelkich władz duszy: i intelektu, i uczucia, i wyobraźni, i woli. Obraz istnienia prawdziwie roślinnego; nie przedostanie się do jego wnętrza żaden powiew, żaden oddech ni odgłos ludzkiego życia. W promieniach bożego słońca będzie stało to istnienie bez duszy [...]

— bez duszy, bez rozumu i uczuć, a więc w sensie człowieczym nie istniejące.⁷

Oczywiście, każdemu z cytowanych tu badaczy Fredry chodziło o coś niby zupełnie innego. A jednak znaczące jest powtarzanie się u kryty-

³ Do tytułowego bohatera powieści W. Hugo *Człowiek śmiechu* porównywał Jowialskiego także S. Pigoń *O „filozofii” Pana Jowialskiego*, w: *W pracowni Aleksandra Fredry*, Warszawa 1956, s. 178.

⁴ J. Stempowski *Pan Jowialski i jego spadkobiercy. Rzecz o perspektywach śmiechu szlacheckiego*, Warszawa 1931, s. 99, por. s. 92.

⁵ Tamże, s. 69.

⁶ E. Kucharski *Wstęp* do: A. Fredro *Pan Jowialski*, Kraków 1921, s. 18.

⁷ E. Kucharski *Fredro a komedia obca*, Kraków 1921, s. 182.

ków tego wrażenia zamierania w obcości, oddalania się od świata żywych, chowania się Pana Jowialskiego. Wrażenie jego bytu niepokojąco lekkiego, bezdusznego, wyzwalającego się z tego, co ludzkie, mającego stałą skłonność do odrealniania się i zanikania w pustce. Nicość, nicość krąży wokół Pustakówki.

Dokonywana przez historyków literatury krytyka dziwnej przypadłości istnienia Pana Jowialskiego przypomina wszakże zarzuty, jakie nie raz stawiano ludziom śmiechu. Pochodzące z różnych epok prace śmiechologów wielokrotnie zwracały uwagę, iż w śmiechu, a więc i w osobowości osób śmiechem się trudniących, bledną pewne właściwości człowieka, uważane za najcenniejsze i świadczące o jego ludzkiej powadze: na przykład rozumność.

I tak, John Locke – a cytuję tego właśnie filozofa nie bez powodu – w *Rozważaniach dotyczących rozumu ludzkiego* dostrzegął, iż osoby „o dużym dowcipie i sprawnej pamięci nie zawsze odznaczają się jasnym sądem i głębszym rozumowaniem”. Bycie dowcipnym wymaga naturalnie pewnej lotności, przede wszystkim szybkości kojarzenia, dopasowywania, natychmiastowego odnajdywania podobieństwa w rzeczach skądinąd niepodobnych. Urok i cała przyjemność dowcipu polega na tej jego prędkości, ale dłuższe, głębsze badanie go wedle reguł prawdy i dowodnych racji stanowi przecież rodzaj afrontu wobec dowcipnisia i jego talentu – mówił Locke.⁸

Rzeczywiście, można by powiedzieć, że dowcip jest z zamiłowania płaski, biegnąc, ślizga się po rzeczach i wykazuje lekkomyślną nieco abnegację, tam gdzie rozum zstąpiłby do głębi. Biegnie, bo nic go nie trzyma: nie zakorzenia się w głębokich sensach, nie przywiązuje się systemem, nie dąży lunatycznie ku ostatecznym celom. Za to lubi zbaczać z wytyczonej logicznie drogi, spojrzeć ze strony nieoczekiwanej, krzywo, bądź – to bardzo chętnie – demaskująco. Nic też dziwnego, że także Immanuel Kant, również występujący w pełnej powadze rozumu, nie najlepiej potraktował tego filozoficznego anarchistę. W wielce szanowanej przez znawców definicji stwierdzał, iż „śmiech jest afektem [którego źródłem jest] nagła przemiana napiętego oczekiwania w nicość”. Dodawał, że taka przemiana nie może być dla rozumu radosna, toteż tematy mające wywoływać śmiech zaliczał do gier, które – choć są przyjemne – „ostatecznie nie dają nic

⁸ J. Locke *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*, tłum. B. J. Gawecki, przekł. przejrzął Cz. Znamierowski, t. 1, Warszawa 1955, s. 198.

do myślenia [...]”.⁹ Tak więc i Kant uważał, iż lekkość dowcipu ma wiele wspólnego z nicością.

Ale śmiech — zauważali śmiecholodzy — osłabia także inną władzę ludzką — uczuciowość. Trzeba, choćby na moment, zawiesić współodczuwanie, zapomnieć o litości, by śmiać się z człowieka, który komicznie się przewrócił. Toteż nie pojmują śmiechu „dusze zawsze czule dostrojone do wszystkich tonów życia, u których każdy objaw wywołuje sympatyczne współbrzmienie uczuć” — pisał Bergson i twierdził, że naturalnym podłożem śmiechu jest obojętność, a największym wrogiem wzruszenie.¹⁰ Napływ uczuć, czy wzbierające namiętności, podobnie jak otchłanny namysł, oblekają w powagę. Śmiech wymaga ich spłaszczenia i sam równowagę przywraca.

To, w czym rozum widzi niepoważną powierzchowność, bezsensowność dowcipu, zaś serce — obojętność niwelującą uczucia, inaczej się przedstawia w komicznym doświadczeniu świata. Bo mówi ono, że świat nie wygląda na zjawisko, które tłumaczyłoby się racjonalnie i dlatego właśnie najrozumniejszy sposób jego ujęcia stanowi śmiech. Jest to również sposób najlepszy, gdyż pozwala on uzyskać nad światem pewną uczuciową przewagę, a co najmniej — nie dać mu się zniszczyć, także moralnie. Toteż Sterne polemizował ze swym wielkim mistrzem Lockiem twierdząc, że przeciwstawiając rozum dowcipowi w tej jednej kwestii się pomylił. Sterne próbował jemu i jego naśladowcom udowodnić, że jeśli rozum pozbawimy dowcipu, to właśnie rozum uczynimy żałośnie komicznym.¹¹ Być może, gdyby Jowialski był filozofem — jak Sterne albo Demokryt, śmiejący się melancholik — to też by tak sądził.¹² Jowialski nic na ten temat nie mówi, ale coś mówią nam o tym jego żarty.

Dowcipność w mniemaniu Pana Jowialskiego polega na tym, by szybko znaleźć przysłowie, powiedzonko, bajeczkę, odpowiednie do właśnie powstałej sytuacji czy wypowiedzianej przez kogoś kwestii. Jest więc umiejętnością reakcji na to, co się wydarza i zdolnością do for-

⁹ I. Kant *Krytyka władzy sądzienia*, przeł. J. Gątecki, przekł. przejrzął A. Landman, Warszawa 1964, s. 263–271.

¹⁰ Por. H. Bergson *Śmiech. Esej o komizmie*, przeł. S. Cichowicz, przedm. S. Morawski, Kraków 1977.

¹¹ Por. L. Sterne *Życie i myśli J. W. Pana Tristrama Shandy*, przeł. K. Tarnowska, t. I Warszawa 1958, s. 258–268.

¹² Do klasycznej tradycji śmiechu Demokrata w związku z komedią Fredry nawiązywał J. Stempowski, s. 44–45.

mułowania czegoś w rodzaju błyskawicznego komentarza. Odpowiedniość wypowiedzanych słów do rzeczywistości bywa tu czasem dziwnym skojarzeniem, gibkim skokiem, skrótom pokonującym odległą różnicę, by odnaleźć podobieństwo, np. wnuczki do osiołka, któremu w żłoby dano, bądź synowej do kota, który im starszy, tym ogon mu twardszy. Czasem zaś jest ruchem zaskakująco prostym, zbyt prostym, a przez to mechanicznym. Odpowiedniość ta zawisa zresztą często tylko na haczyku jednego słowa, powtórnego, użytego w innym kontekście. Lecz Pan Jowialski dba o to, by została ona zachowana, w ten czy inny sposób podkreśla jej istnienie, gdyż tylko wtedy dowcip może być w jego mniemaniu sensowny. „Zamienił stryjek za siekierkę kijek” — próbuje naśladować ojca Szambelan. „Co to?” — pyta Jowialski. „Przysłowie”. „Ale do czego stosujesz?” Szambelan: „Do niczego”. Na takie *dictum* Pan Jowialski wzrusza ramionami (s. 197). Bo on sam zawsze stosuje swe powiedzenia. I nie mieli, jak sądzę, racji krytycy twierdzący, że bywają one „ni przypiął, ni przyłatał”.¹³ One są albo „przypiął” albo „przyłatał” i to właśnie stanowi dumę oraz radość Jowialskiego — że udało mu się znowu wynaleźć zabawną odpowiedniość.

Pan Jowialski chce być w tym łączeniu dowcipnym pośrednikiem. Gdy mówi, nie wskazuje wcale, co on — jako indywiduum — myśli. Nic nam nie wiadomo, by treści jego powiedzeń były jakoś zakorzenione we wnętrzu mówiącego, nie ujawniają bowiem one jego duszy, nie przedstawiają — jak rzekliśmy wcześniej — jego osoby. Żart nie jest wszak środkiem ekspresji duchowego wnętrza. Na osobowość wskazuje tu jedynie samo żartowanie, sposób posługiwania się językiem, technika, forma. Z głowy Pana Jowialskiego wyskakują zatem mądrości nie jego, lecz już gotowe — owe przysłowia i cytacje. Przytacza on powiedzenia, których kształt ktoś, kiedyś, nie wiadomo kto, ustalił. Posługuje się językiem, który jest, jest dany i jakby zawsze był, i którego uznaną wartość narzuca autorytet tradycji.

Pan Jowialski bardzo pilnuje, aby wszyscy użytkownicy tego języka cytowali powiedzenia dokładnie w tej formie, w jakiej dane zostały. Dbą o to, by mówić tak, jak „się mówi”. „Co waćpan bałamucisz! Mówi się — *plecie, co mu ślina na język przyniesie*, ale nie: jakoś od śliny. I co waćpanu myśleć o przysłowiach!” — krytykuje Jowialski Szam-

¹³ Twierdził tak nawet S. Pigoń, pomimo że polemizował z sądami o „bezsensowności” przysłów Jowialskiego. Por. s. 166.

belana (s. 152). Zaś gdy zniecierpliwiona Szambelanowa wyrzuca teściowi: „A jegomości o nic w świecie nie idzie, tylko o sposobność umieszczania swoich przysłówiów, które mi już kołkiem w gardle...”, Jowialski przerywa jej: „*Kością w gardle* — mówi Knapijusz, nie kołkiem” (s. 147). Zwróćmy uwagę, iż Jowialski jakby nie dostrzega, że synowa najwyraźniej go atakuje, obchodzi go natomiast, że przekreśliła powiedzenie. Taka sytuacja — gdy ktoś źle zacytuje — jest bodaj jedynym wydarzeniem, które może go wyprowadzić z równowagi. Każdą taką osobę Jowialski niezwłocznie poprawia. A robi to, jak się wydaje, dlatego, że właśnie język traktuje on serio. Bo język, ten dany mu język, jest jego realnością. Ustalonego ładu tej rzeczywistości Jowialski skrupulatnie strzeże — pilnuje więc porządku swojego świata. I to zadanie, które pieczołowicie wypełnia, zadanie czujnego doглядania oraz uprawiania językowego gospodarstwa, stanowi o jego osobistości.

Ale też jest to jego jedyna rzeczywistość. Język, którym mówi Pan Jowialski nie jest ani tożsamy z jego osobą, ani też nie odsyła do rzeczy. Jeśli sensowność jego komentarzy może wydać się problematyczna, to dlatego że ich zadaniem nie jest bynajmniej uwyrażnienie zjawisk przez słowa, wydobyć właściwego im tylko sensu, przedstawienie, jakimi są w istocie. Jego cel stanowi zabawa, a więc uzyskanie komizmu przez połączenie. Toteż Pan Jowialski szuka nie rzeczy, nie zjawisk, nie ludzi, lecz połączeń właśnie. Chwyta za jakąś cechę i łączy, dopasowuje. Nie zajmuje się tym, co mogłoby stanowić o ich odrębności, o niepowtarzalności czy sile. I tak, w ruchliwej sieci połączeń błędnie odmiennosc, a przez to niwelują się kształty. Zanika realność świata, a zostaje język — sam z Panem Jowialskim.

Dowcipna działalność Fredrowskiego bohatera polega na umiejętności sprowadzania wszystkiego, co się wydarza — a więc przynoszonej przez życie nowości — do starego. Do owego odwiecznego języka gnomicznego. Ująć każdą sytuację w znaną sentencję, wpuścić ją w korytko słów, pokazać, że nie jest bynajmniej nowa, jakaś inna — tego chce jowialny humor. Bo wszystko jest swojskie, od pokoleń takie samo, wiadomo, tak właśnie w ogóle rzeczy się mają na świecie, bo jak mówi przysłowie... Pan Jowialski zdaje się sądzić, że to zawsze da się zrobić. Bo co tylko można powiedzieć, już kiedyś zostało powiedziane. W języku znajduje się coś odpowiedniego na każdą, nawet najbardziej dziwną okazję, niczym w wiekowej szafie, czy — powróćmy do tej metafory — w gospodarstwie zaopatrzoną porzą-

dnie na wszelki wypadek. Wystarczy sięgnąć do tego lamusa, by wyciągnąć to lub owo, co świetnie da się zastosować, odtworzyć, powtórzyć.¹⁴ Gdy chemy stwierdzić, iż człowiek jest panem swych czynów, wyciągamy: *Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz* (s. 152). A gdy pragniemy pokazać, że nic od niego nie zależy, odkurzamy: *Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi* (s. 204). Przysłowia dobrze sobie radzą ze sprzecznościami świata oraz brakiem logiki.

Znacie tę bajeczkę? Znamy. No to postuchajcie... Te słynne słowa Fredrowskie najlepiej może oddają pojmowanie rzeczywistości przez tytułowego bohatera komedii: jest to świat, w którym żadna nowa bajeczka nie może się wydarzyć. Wszystkie zostały już opowiedziane, więc wszystkie już były. Niczego nowego nie da się wymyśleć ani przeżyć. Pan Jowialski każdemu umie pokazać, że to, co się przydarza, już było, że zostało już zapisane. I może w tym, iż nieustannie to wszystkim pokazuje, jest najbardziej brutalny: że to, co ktoś robi czy powiada, nie jest wcale jakieś jego własne, lecz że da się podciągnąć pod ogólną regułę. Ze jego sprawy nie są indywidualne — ani nadzwyczaj wielkie, ani specjalnie małe — tylko zwyczajne, błahe, jak w tej bajeczce, która...

A wszystko jest bajeczką — można by rzec, parafrazując słynne powiedzenie z naszej już epoki. Lecz być stutysięcznym osiołkiem, albo nawet powielonym Pawłem czy Gawłem, zawsze zjadać beczkę soli, zanim pozna się do woli i przez całą wieczność łapać wróbla w garść? W takiej sytuacji istnieją dwie, zbliżone i zarazem przeciwstawne, strategie postępowania. Melancholia i śmiech. Skoro rzeczywistość nie ma siły, żeby przynieść coś nowego, można — jeśli się wybierze śmiech — dla zabawy obracać tym, co już było, powtarzać to, układać. A jeśli ma być śmiesznie, trzeba to robić szybko — na szczęście posługiwanie się produktami gotowymi jest ekonomiczne, traci się mniej sił i czasu. Język, nie potykając się o rzeczywistość, nie czuje oporu. Można mówić i mówić. Szambelanowa: „A dajże też mi jegomość święty pokój z tymi przysłowiami bez końca”. Pan Jowialski: [uradowany]: „Prawda, że ich umiem bez końca?” (148). Ktoś taki, jak Jean Baudrillard porównałby Pana Jowialskiego w tym momencie do swej kompaktowej płyty — puszczanej w kółko, nie do zdarcia, niemal w nieskończoność — z której uczynił metaforę post-

¹⁴ Do lamusa porównywał język przysłów Jowialskiego J. Stempowski. Por. s. 52–53.

modernistycznej nieśmiertelności: czasu wypełnionego, bez wolnego miejsca na coś nowego, a więc czasu bez świadomości czasu.

Dowcip bezwzględnie wymaga publiczności. Dlatego Pan Jowialski jest naturalnym despota, który robi wszystko, by zatrzymać przy sobie słuchaczy. Jego poddani wiedzą: trzeba się bawić, cieszymy się, śmiejmy. Na nic bunty, na nic szept Szambelana: „I tak ledwo żyję z radości” (s. 164). Z Jowialskim nie ma żartów, gdy idzie o żarty. Bo już jego istnienie, to znaczy jego dowcip, nie może utrzymać się bez echa. Bez śmiechu innych. Gdyby przestali się śmiać, gdyby umilkł refren: „Fikle! Fikle!”, Pan Jowialski popadłby w melancholię i szybko umarł.

To doświadczenie zanikającego, umykającego w bezrealność i beczas świata można by więc nazwać melancholijnym... gdyby nie było komiczne. Przy bliźniaczym podobieństwie doświadczenie melancholijne różni się bowiem od ludycznego, jak ciemne od jasnego. A tym, co tak je różni, jest — jak sądzę — radość śmiechu. I myślę też, że gdy piszemy o Fredrze i jego portret ponury, niemal tragiczny wydaje nam się ciekawszy, jakby głębszy od Fredry pogodnego, to nie dość liczymy się z tym, co nade wszystko określa rzeczywistość śmiechu — z radością. Nie liczymy się także z publicznością Fredry, która od pokoleń sądziła, iż Pan Jowialski jest śmieszny, że jego świat jest śmieszny i komedie Fredrowskie są śmieszne, czemu publiczność owa dawała wyraz śmiejąc się — bynajmniej nie zgrzytliwie ani ironicznie — lecz wesoło, pogodnie, z pełnym przeświadczeniem, że — jak mówił Pan Jowialski i niemal wszyscy śmiecholodzy — „śmiać się bardzo zdrowo” (s. 152).

Tak, pisano o tym, iż Jowialski był szczęśliwy. Lecz na ogół krytycy dostrzegający to jego radosne istnienie — wyjąwszy Boya-Żeleńskiego — widzieli w komedii albo ironiczno-rozpaczliwe, albo satyryczne rozliczenie się Fredry z roślinnością „bez serc i bez ducha”¹⁵. Wskazywali więc, że śmiejący się Jowialski na różne sposoby nicościował rzeczywistość i stawiali mu zarzuty dające się sprowadzić do jednego: do stwierdzenia jego nihilizmu. Temu nihilizmowi Fredro miał się przeciwstawiać, bądź — wedle innych autorów — sam w nihilizm popadał, jeśli był w wyjątkowo złym humorze¹⁶. Nie do przyjęcia za-

¹⁵ Por. T. Żeleński-Boy *Obrachunki fredrowskie*, w: *Pisma*, t. V pod red. H. Markiewicza, Warszawa 1956, s. 272–273.

¹⁶ „Był nihilistą i wiedział, że jest nihilistą. Nienawdził nihilistów i wiedział, że nihilisci mają rację. Kochał cnotę i nie miał nadziei. [...] Nihilizm Fredry był oczywiście nieco innym nihilizmem niżli ten, którego nienawdził. Był — tak moglibyśmy go nazwać — nihilizmem konserwatywnym” — pisał, nawiązując do *Zapisków starucha* Fredry, J. M. Rymkiewicz, s. 341.

tem okazywał się bohater, który — jak dowcip — nie dawał się zakorzenić ani w głębinowych sensach, ani związać w spójnym systemie idei, ani przytrzymać na drodze wiodącej ku czemuś. Krytyka zachowywała się zazwyczaj tak, jakby akceptacja ludycznego „ja” Jowialskiego musiała nas zepchnąć w nicość¹⁷.

Nie muszę chyba ujawniać — jeszcze wyraźniej niż czynię to cały czas — iż moje spojrzenie na Fredrę nosi oznaki świadomości ponowoczesnej, tej szczególnie wyczulonej i na melancholię, i na ludyczność. Że, słowem, bliżej jest mi raczej do Sterne’a łączącego w jedno rozum i dowcip, niż do Kanta odrzucającego przyjemność śmiechu jako niepoważną. Dlatego też widzę, jak właśnie rozum podsuwa Panu Jowialskiemu pewne rozpoznanie świata, jak rozum mówi mu, że bez śmiechu ani tego świata nie pojmie, ani nie poradzi sobie z własnym w tym świecie istnieniem¹⁸. Bo śmiech Jowialskiego nie jest rezygnacją, jest raz po raz dzielnie odnoszonym zwycięstwem. Pan Jowialski radzi sobie — całkiem dobrze.

Dlatego również — tu znów przychodzi mi w sukurs moja świadomość ponowoczesna — nie przeraża mnie język Jowialskiego. Wydaje mi się trochę znajomy. Tak bardzo różniący się od języka romantycznego, nie będący pomostem do żadnej transcendencji, ani, tym bardziej — promieniem mistycznego Słowa; zakłada — jakby po derridiańsku — że na początku było przysłowie. Ten język jest samoswój i odsyła tylko do własnej normy. A strzeże jej — to prawda, że w sposób do znudzenia uparty — Pan Jowialski. I norma ta, a więc pewne prawo, stanowi jego korzenie, dumę oraz szczęście. Może więc był sens w żarcie Boya, który proponował, by postawić Jowialskiego w szeregu zasłużonych: Lindego, Glogera i Kolberga?¹⁹

Pan Jowialski — tak go widzę — jest, bo jest strażnikiem śmiechu i języka w świecie zagrożonym melancholią. Czy to mało? Jest przecież dzielnym strażnikiem. Można by nawet rzec — arcydzielnym.*

¹⁷ „Odgadnąć go należy i zrozumieć w jego osobliwości, ale biada pokoleniu, które by mu chciało pobbłażyć” — pisał o Panu Jowialskim S. Pigoń, s. 179.

¹⁸ Charakterystyczny dla świadomości ponowoczesnej wydaje mi się sposób, w jaki dzisiejszy filozof śmiechu Odo Marquard podejmuje stary spór o „rozumność” dowcipu. Rozwijając teorię Z. Freuda oraz J. Rittera, traktuje on śmiech jako modelowy przypadek działania rozumu — przezwyciężania oglupienia. Por. O. Marquard *Śmiech jest matką teodyceą*, w: *Apologia przypadkowości. Studia filozoficzne*, przeł. K. Krzemieniowa, Warszawa 1994, s. 143–156.

¹⁹ Por. T. Żetefiski–Boy, s. 275.

* Artykuł został wygłoszony na konferencji zorganizowanej przez IBL PAN pt. „13 arcydzieł romantycznych”, która odbyła się w dniach 7–8 listopada 1995.